

KAMENA

MIESIĘCZNIK
LITERACKI

ROK IV

NR 1

TREŚĆ NUMERU PIERWSZEGO:

TADEUSZ BOCHEŃSKI	Kilka myśli o poecie, krytyku i czytelnictwie	str. 1
WŁODZ. SŁOBODNIK	Cienie liści na trawie	„ 5
OLGA DAUKSZTA	Wiersze z „Waleta kierowego“	„ 6
STEFAN NAPIERSKI	Z „Wierszy sielskich“	„ 8
WACŁAW IWANIUK	Epilog poematu „Pełnia czerwca“	9
CZESŁAW JANCZARSKI	Do Marysi	„ 10
K. A. JAWORSKI	Vulnerant omnes necat ultima	„ 11
KAZ. TRUCHANOWSKI	Teatr don Kichotów	„ 11
JULIA WIELEŻYŃSKA	Poezja serbo-łużycka	„ 16
JULIA WIELEŻYŃSKA	Przekłady z poezji łużyckiej	„ 22
HENRI SPIESS	Młodość moja	„ 24
JEAN MORÉAS	Ze „Stanc“	„ 24
K. A. JAWORSKI	Przegląd poezyj	„ 25
	Kronika słowiańska	„ 26
	Noty	„ 27

Wkładka linorytowa ZENONA WAŚNIEWSKIEGO:

Ponte dei Sospiri

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.

Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Wydawca: Zenon Waśniewski.

Administracja: Chełm Lub., Reformacka 43

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezcki.

Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

Prenumerata roczna (10 numerów) 5 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 50 gr.
Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunkowym (niebieskim). Numer okazowy „Kameny” wysyłamy tylko po uprzednim nadesłaniu 60 gr przekazem lub w znaczkach pocztowych.

Opóźnianie w płaceniu prenumeraty powoduje opóźnienie w wysyłce pisma ze względu na wysoką opłatę pocztową numerów jako druków.

CENA NUMERU 60 gr.



K A M E N A

MIESIĘCZNIK LITERACKI

ROK IV WRZESIEŃ 1936 R. NR 1 (31)

KILKA MYŚLI O POECIE, KRYTYKU I CZYTELNICTWIE

I

Wydawanie książek poetyckich w dwustu egzemplarzach to nie tylko fakt bibliograficzny. Bywa, że się poeci małą ilością egzemplarzy chwala. Bywa także, iż krytyk stwierdza tę znikomą ilość bez przykrości lub nawet wtyka w recenzję rozumowanie: „Setka, licząc okrągło, działa w Polsce poetów. Ci książkę kolegi z ciekawości kupią. Reszta, pomijając tak zwane egzemplarze obowiązkowe, rozejdzie się po redakcjach ważniejszych czasopism. Nie zmarnuje się nic.“

Przedmiotowe ujęcie rzeczywistości? Może. Ale i dowód, że wobec małego i niemal kastowego już pokupu książek poetyckich jesteśmy co najmniej chłodni.

II

Recenzentów rozróżniam dwojakich: poetów i niepoetów. Poeci piszą o poetach czasem zajmująco, czasem tylko złośliwie. Nie wiem, czy złośliwością nie wyłazi z nich sobkostwo lub coś sobkostwu podobnego: egometryzm, mierzenie sztuki cudzej łokciem własnych możliwości, własnych nawyków twórczych i upodobań. Gorszy i brzydszy od egometryzmu jest egoizm. Lecz tylko egoizmem (jednostkowym lub grupowym), tylko grubą zazdrością wytłumaczyć mogę wzgardliwe, poniżające „osądy“ książek oczywiście i niezaprzeczenie śmiałych, zdobywczych i pięknych.

Niepoeci? Różnie tu bywa. Są i tacy, co kiedyś próbowali pisać wiersze. Nie udawało się, nie szło, więc rzucili pióro orle, a chwycili się gęsiego albo wręcz metalowego i wyładowują się gromieniem ekskolegów.

Mierny dziennikarz, osobliwy specjalista wszystkiego, oblewa książkę i poetę sosem oklepanych frazesów, a gdy płatny

od wiersza felieton jeszcze nie dość napęczniał, faszjeruje go np. cytatami lub, co gorsze, naiwnymi streszczeniami. Zauważyłem, że ganienia bywa dziś w recenzjach gazetowych mniej, niżli bywało dawniej. Ale szkodliwsze bodaj od ganienia są frazesy, które nic nie mówiąc to jednak zdają się uparcie powtarzać, że poezja nie jest tematem poważnym. Czyżby istniała tylko po to, aby było o co zacząć felieton?

III

Tak wśród recenzentów-poetów, jak wśród krytyków-niepoetów są znaczne wyjątki. Spotykałem i spotykam głosy poetów o poetach tak radosne, tak pełne entuzjazmu, a jednocześnie najświetniejszego, niezawodnego znawstwa, że czytanie recenzji uczy i zapala. A jeśli wolno przytoczyć i świecko zastosować słowa Biblii, przytoczę. „Gdzie się dwaj lub trzej zgromadzą w imię moje, jam jest“ — mogłaby powiedzieć i poezja, ilekroć w zgodnym, nabożnym trudzie pięknotwórczym i pięknoznawczym zespoli się poeta z recenzentem, a najdzie ich obudwu i dopiero się nasłucha ktoś jeszcze trzeci.

Spotykałem i spotykam uczciwe, niekiedy w syntetyzujący zachwyty uchodzące recenzje krytyków zawodowych. Jakże jednak rzadko! Częściej wytyki, kwaśne, przemądrzałe naciągania „ideologiczne“ albo nawet próbę zgoła niedorzeczną, próbę prawowierności politycznej, społecznej wyznaniowej. Z takiej próby pochwalony wyjdiesz czy zganiony, zawsze nie istoty sięgnięto.

IV

I jeszcze jedna jest metoda, jeden zapęd niby straszliwie etyczny, a naprawdę może tylko snobistyczny. Tak poeci, jak niepoeci powtarzają w recenzjach zrzędlawie, że poezji dobrej wcale dziś w Polsce nie ma, że istnieją tylko wierszopisowie średni, mierzwa pod daleką albo już idącą przyszłość.

Nie zgadzam się z taką opinią. Widzę i podziwiam świetne, i najzupełniej europejskie, a przecież polskie książki i utwory. Nie wydaje mi się, by dziś większy był odsetek publikacji lichych niż np. w latach Młodej Polski. Myśmy tylko tamtej partacyzny zapomnieli, a pamiętamy rzeczy dobre i najlepsze

Nie wydaje mi się także, by poziom artystyczny obecnej poezji polskiej był niższy od poziomów zagranicznych. Znam jako tako poetów niemieckich, francuskich i włoskich, znam także (tych niestety z przekładów) angielskich, rosyjskich i innych, lecz nie widzę między nimi a Polską przepaści. Owszem,

różnorodność poczynań polskich, mnogość indywidualnych założeń i stylów, znakomite u niektórych poetów zgłębienie i wyzyskanie potencjalnych zasobów polszczyzny, wielka rozpiętość tematyki, sięgająca od najskrytszych przeżyć osobniczych aż po grozę i potęgę sprawy dziejowej i kosmicznej — to podpory mego mniemania i odczucia, że poezja polska nie tylko żyje, ale się szczęśliwie rozwija i bynajmniej strojowi światowemu nie uchybia.

V

Poniżanie polskiej twórczości poetyckiej bywa ogólne i częsciowe. Ogólnym płyną usta i pióra niezadowolenców, których rozgrymaszenie przypomina przepieszczone albo chore dzieci. Częściowego rodowód brzydki: doktrynerstwo bojówkarskie, ślepe partyjnictwo.

Słyszałem już, a słyszałem właśnie od poetów, że Tuwim to kuplecista i kontynuator innego kuplecisty, Lenartowicza, że Przyboś megaloman i półgłówek, że Słonimski wyprany chemicznie z uzdolnień poetyckich, a Czechowicz bezmyślny naśladowca francuskich (czy tylko znanych „krytykowi“?) nadrealistów. Słyszałem, że Peiper się idiotycznie wygłupia, a poeci „Skamandra“ żerują tylko na gnijącym trupie kapitalizmu, rozgłos zaś (niezaprzeczony) zdobywają hojnym oplacaniem i obdarowywaniem posadami przekupnych recenzentów.

Tymczasem Tuwim jest przednim, rodowitym poetą a rzetelny, licznymi i swoiście dojrzałymi owocami legitymowany wysiłek artystyczny Przybosia nie wyśmiewać każe tego twórcę, lecz szanować. „Okno bez krat“ Słonimskiego mogło się spodobać i na pewno się bez łapówki spodobało Zawodzińskiemu (mnie się też podoba), a utwory Czechowicza nie są wtórne, lecz wykwitły z bardzo ludzkiej i bardzo lirycznej osobowości. Znam poetę od dawna i pamiętam, że już pierwoćiny, które na wiele lat przed „Dniem jak codzień“ i „Kamieniem“ oglądałem, bardzo były niepodległe i późniejszej technice, odrębnej tego pisarza skojarzeniowości, pokrewne Peiper, choćby nie był nic innego osiągnął, już dlatego nie jest bezwartościowym wygłupkiem, że odważnie i logicznie przewietrzył zatęchłe, rutyniarstwem opancerzone gniazdko „poetyckich możliwości“. Skamandryci zaś, choćby właśnie peiperowcy zarządzali co innego, przedarli się przez tyle dziewiczych zakątków człowieczości i z takim arcyzmem tajniki owe wypisali, że uważać ich za marne epifenomeny kapitalizmu, a nie dostrzegać ludzi ani (zróżnicowanego wedle osób) piękna może tylko zaślepienie albo po prostu ślepiec.

VI

Gdyby nawet dzisiejsza poezja polska lichsza była od francuskiej czy niemieckiej, czyżby ją skutecznie w górę wiodły i na zaszczytniejszym poziomie umieszczały wieczne szukania wad i nieustanne przygany? Sądzę, że nie. Sądzę, że krytyk zalety raczej (a nie ma poezji bez zalet) i sam widzieć, i tym, co wzrok mają mniej uczony, poważnie i ochoczo pokazywać powinien. Boć tylko na żyznej glebie życzliwego czytelnictwa i tylko w ciepłe serdecznej współpracy poetów, krytyków i czytelników szlachetnieć mogą artystyczne płonki, rasowieć style i rodzaje.

Gdzie krytyka i czytelnik cieszyć się umięją poezją, tam ona rośnie śmiało, tam z przyrodzenia samego bujnieje. Ani jej wtedy dla dodania sobie animuszu nie wycudacza ważny społecznie twórca, ani się działalność potrzebnych poetów nie wyradza w ordynarną waśń konkurencyjną.

VII

Powiedział ktoś niedawno, że brak dzisiejszym poetom opiekunów, świątłych i możnych mecenasów. Sądzę, że mecenasostwo winno dziś całkiem być odmienne od dawnego. W czasach, kiedy publicznością są lub mogą być miliony, a nie jak ongi nieliczni wybrańcy losu, mecenat musi być społeczny: drukowany.

Nowe zadanie rozwiązywać przyszło krytykowi dzisiejszemu: udostępniać książkę wielogłowemu narodowi, uczyć czytania, kształcić sensorium estetyczne, tworzyć je, gdzie go dotychczas nie ma. A krytykom zdaje się wciąż jeszcze, że istnieją po to, aby uczyć pisania poetów. Lecz i ty, poeto, nie po to jesteś poetą, byś — nie mówiąc niby nic o sobie — poniżał poetę innego, nie po to także, byś innego poetę tresował.

VIII

Życie nie polega na stawaniu do góry nogami przed Bogiem; praca kulturotwórcza nie jest boksem szyderstwa ani dziwaczeniem pseudoestetycznym. A jeśli do gromady szlachetnych t. j. społecznie wartościowych pracowników należeć pragnie jednostka, która uprawia krytykę literacką, niechże choć to pamięta, że nie o krytykę dla krytyki idzie ani o krytykę dla zabawienia półludków, łakomych zawsze widowiska razów i czyjegoś padania na łopatki.

Odzyskać, a właściwie pozyskać nowoczesnych odbiorców temu kwiatowi literatury, którym jest poezja, mogą tylko krytycy radośni i afirmatywni. Nie dziur utworu szukać i dziury zwycię-

sko pokazywać, bo to i handełes potrafi, ale piękna i jego utajonych źródeł dopatrywać się i dopracowywać pospołu z rozciekawionym czytelnikiem winien w zdrowym i celowo zorganizowanym społeczeństwie krytyk. Że zaś nie rozciekawi ani nie zapali nikogo chłodny, próżen entuzjazmu referent (nie mówmy już o poniżaczach i o tępicielach poetów), to rozumiał jeszcze starożytny Cycero, kiedy pisał:

„Nie ma paliwa, które by tak było łatwopalne, iżby się bez podłożenia ognia zapalało. Nie ma też nigdzie duszy, która by tak była pobudliwa i do przyjęcia twego przekonania skłonna, iżby się mogła zapalić, jeśli do niej sam zapalony i płonący nie przystąpisz“

TADEUSZ BOCHEŃSKI

(Kraków)

* * *

Cienie liści na trawie. Ja je dobrze znam,
Widzę je pod stopami, dobry szept ich słyszę,
Bo, jak gałąź bez drzewa, jestem sam i sam,
Bom wiele, wiele przeżył, bo już czas na ciszę.
Kamienie polne. Znam je. Matka moja miła
Przed ich ciężarem szarym serca mi broniła,
Lecz teraz, kiedy matka moja jest topolą
I trawą i jaskółką, pogrążoną w śnie,
Jakież łagodne, ciepłe ręce nie pozwolą,
Aby kamienie polne tak dusiły mnie?
Deszcze długie i ciemne. Znam je. Biegły w dal
Po ogrodach, po lasach, po błękitach łąk
Jak siekący siekierą nierozumny drwal,
Który zaufał tylko ślepej sile rąk.
Dziś nie Kocham świeżości ich młodej i jasnej,
Bo młodość ich szalona, a ja nie mam własnej.
Kochałem dachy mokre, gdy w deszczowej mgle
Wyrastały pod niemi ulewy długimi,
A dziś pod każdym dachem jest mi źle i źle,
Bo to co było moje — nie pod dachem — w ziemi.
Ojciec jest teraz słońcem, matka jest topolą
I pisklęciem leżącym w ciepłym gnieździe brat —
Ktoś mi ich ludzkie życie tak okrutnie skradł,
Bym nadawał imiona ich drzewom i polom
I ptakom i muzyce, którą wiecznie słyszę —
Sam jestem na tej ziemi. Czas na wielką ciszę.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

K A R T A

Karta... zwyczajna karta...
nie więcej

Walec... trywialny walec
leży w ręce.

Dama w wyciętej sukni,
w berzerce,
karty... niepewne karty
pod sercem...

Stolik... zielony stolik
i świece.

Asów ni królów walec...
nie więcej.

Jakże tu wygrać dzisiaj
w rozterce?

Tylko siódemki... walec
i serce.

P O P I Ó Ł

A gdy myślę o tobie,
to palę papierosy,
lub długie cygarety,
wonne jak włosy
kochanej przez cię kobiety

Wypada popiołu wtedy
z mej cygarety dużo
i ogniem właśnie
spala mi na piersi bluzę
a potem gaśnie powoli.

I tak zawsze...
Gdy myślę o tobie,
to muszę palić,
dym rozwiewać,
nikomu się nie żalić,
w popiół rozsiewać
to, co boli...

S T A W K A

Noc wiosenna
jak z wielu, wielu lat,
z przekreślonych dat,
z przebrzmiałych nut.
Wiosną pachnie lód
włosom księżycy
i Swarżycy.

Grajmy w karty
przy blasku świec,
bo trzeba się strzec
posępnych dum.
Choć za miejski tum
odleciały kawki,
przebrane stawki.

Został walec,
walec kier
z hazardowych gier.
Rozmiotaniem met
drga jego flet.
Grajmy na waleta —
ja, noc i kobieta.

Za oknem wiosna...
Trzeba strzec się dum,
choć za oknem tłum
niemiłosiernie drwi
z mojej gry
To nic nie znaczy:
stawmy na śpiew junaczy,
na waleta kier,
na muzykę sfer.

C O T O J E S T M I Ł O Ś Ć ?

— Ciekawy jestem,
ciekawy jestem,
niech pani powie,
co to jest miłość? —
Tak pyta walec
z przekory gestem,
łowiąc w rozmowie
słów swych zawilość.
— Co to jest miłość?
To szal Tytanii
w lesistej głuszy,
co każe ośle całować uszy.
To cios dziryta,
na piersi Fedry
koń Hipolita.
To śmierć Barbary
Radziwiłłówny,
żony Augusta,
gdy jadę z czary
spaliła usta.
I to jest moja
miłość-zawilość,
trozkę ci znana.
Więcej nie pytaj,
kochany ośle
z miną sułtana.

OSTATNIE DRZWI

STOSOWNA PARTIA

Zobaczę cię, nieprędko,
za trzy dopiero dni.
Wyśnił mi się wszystkie
przedziwne moje sny
Rozsłonecznione miasta,
zamki, różowe bzy...
Na wszystkie wieże wejść,
wszystkie otworzę drzwi.

W komnatach rozłożonych
rozdzwonił się mój krok,
z posadzki spojrzę na mnie
zbudzony barwny smok.
Na ścianie gdzieś w portrecie
markizy zadrży lok,
pośle mi zdziwiony
swój pytający wzrok.

A ja zbląkana pójdę
przez szereg długi sal,
ciągnąć jak tren żaloby,
mój opalowy żal.
Przez amfilady komnat
pójdę w ostatni hall,
gdzie w freskach Damajanti,
a z nią królewicz Nał.

Pójdę im spojrzeć w twarze,
blisko do samych ram.
Bo wszędzie senna wejść,
do wszystkich wpuszczą bram.
Do pagód morelowych,
pójdę do wieszanych Lam
zapytać, czyś nie szukał
mnie zabląkanej tam.

I do kościołów przyjdę
chłonąć organów dźwięk
i Białej Mniszce świętej
złożę narcyzów pęk,
aby mi dłonią swoją
wskazała w głębiach wnek,
gdzie cień twój się zaczął
i gdzie mój skona lęk.

A jeśli cię nie znajdę
pośród kadzidel mgły,
to pójdę w dół po schodach,
w ostatnie wejść drzwi.
Rozerwę tren tęsknoty,
rozplączę wszystkie sny...
Do lupanaru wejść,
by tylko być gdzie ty

— Dla ciebie, dla ciebie
stanowczo on za młody —
mówi mi kuzynka.

Nie jesteś przecież głupia,
gąska i dziewczynka,
więc po cóż mu piszesz ody?
Stanowczo, nie dla ciebie,
dureń i za młody.
Po co kompromitujesz
swe wiersze i siebie? —
— Zastanów się — mówi matka —
któreż to kuglarstwo,
najprzód było malarstwo,
a potem poezje,
wszelkie nowoczesne
brednie i herezje,
a teraz dancingowy
urwis gołowasy
i znowu wiersze:
„pocałunki twe pachną
wiatrem i papierosem,
a twarz bławatkim”
Oto wiersze wariatki —
ciągnie głos matki.

I tak w kółko gderzą, łają,
spokoju mi nie dają
za me upojenie i wiersze
coraz prawdziwsze i szersze,
za dni czerwone i złote,
za noce fiołkowe z tęsknoty,
za gesty odkrywcze, zuchwałe,
za usta w krwi spurpurzałe.
Za wiersze dla chłopaka,
co do rajskiego ptaka
podobny w moim ogrodzie
nieproszony wraca
i jak słońce odchodzi.

A mój dobry znajomy,
pan Józef, co ma dzieci,
żonę i dwa domy,
patrzy z uśmiechem
i chcąc ustrzec
mnie przed grzechem,
szepcze o partii stosownej:

Pani szanownej
ja go przedstawię,
ma lat czterdzieści,
pensji miesięcznie
dolarów dwieście.
— Ach, już wiem — mówię,
wygląda z angielska:
twarz szara, zmarszczka męska
pod nosem.
Mówi obojętnym głosem,
oczy ma świdrujące,
łaksujące kobietę zażarcie,
podobny do zmęczonego ogara.
Tak, panie Józefie,
pan ma rację,
oto stosowna dla mnie para.

I

Przez rozchwiane łany polną miedzą
Iść ku Cererze, zawierzywszy ziemi płodom,
Przypatrywać się ciekącym wodom:
Co odpowiedzą?

Szelest ruczaju czyj? — I jaki
Liść szepce, z płowej wierzbiny
Stracon przez nieuważne ptaki
Wczesnej godziny?

Na powietrzu perłowym zew... — Azali
Nad groblą sięść, gdzie kaczeńce
Toną łowiąc na ciemniejszej fali
Sobótki wieńce?

II

Szelest liścia, zew ptaka i rozchwianie drzew —
Oto dnia pogodnego stargane nerwy;
Nie nasłuchuj... wynosi się śpiew
Pod obłokami, bez przerwy!

Strumień gada, blask pełza i nieruchomy liść
Dygocąc na powietrzu tężeje dalej,
Cieniu ciemny, dokąd to nam iść
Po znieruchomiącej fali?

III

W twoje szare powrócić, samotności, wody.
Długo patrzeć o zmierzchu: tam, gdzie listek młody
Na tle zieleni czarnej drga, czysty w rysunku
Jak przełamany w strudze profil wizerunku.

Po czym rozchylić storę, przez szczelinę szyby
Wdychać powietrza wilgoć, pachnącą jak grzyby;
Tak przed spoczynkiem zwlekać; i niech w sen nieżywy
Wedrze się chłodna szorstkość zmoczonej pokrzywy,
Berberys krwawo kwitnie, chwieją się derenie;
Zanim powróci senne szczęśliwe ocknienie
A nad oko widzące dźwignie się powieka:
Szary blask czoło martwe posągu obleka.

EPILOG

poematu „Pełnia czerwca“

1

Tak tropem własnym świat nas ściga,
wbijając w srebrną przystań wiosło.
A noc pająkiem nieruchoma,
i dzwony w brązu pieśń porosłe.
Gdy miasta w słupy wystrzelone
żegnają nas swych bram westchnieniem,
kominy jak wyniosłe trony,
domy — październik białych ramion,
kładą na czoła piętno znamion.

Prowadzi nas melodia krtani
do mogił w rzędach białych brzoź.
Aż cmentarzami obląkani
chwytny obosieczny nóż.

A od południa z krzykiem wiosny
bocianom w locie skrzypią ręce.
Człowiek swych ramion krzyż wyniosły
oddaje każdej bożej męce.

Prowadzi nas raz noc, raz dzień,
do światła rzecznej akwareli.
Gdy pochylamy się odbiciem
nad wodą pełną szarych drzeń.
Tam pierwszy raz ujrzalem skrycie
jak kreda śmierci twarz mi bieli.

Wracamy nagle nie wołani,
Odlecają ptaki w szumie skrzydeł.
To cisza idzie na spotkanie.
Tam gdzie mogiły i blask brzozy
nagle się jasny cień położył.

Tak na tej ziemi bezpowietrznej,
tak na tym łądzie krótkotrwałym
raz nas otacza jasna przestrzeń,
to znów pogrąża mrok szerniały

Prowadzi nas melodia krtani
do mogił w rzędach białych brzoź.
Aż cmentarzami obląkani
chwytny obosieczny nóż.

Spoczywa głowa martwą śniedzią
 zatęchłym skrzepem błot opluta.
 Czoło ze zmatowiałej miedzi
 bieleje wapna nagim grzbietem.
 Gdzie spadło czasu ostre dłuto,
 wiatr w nozdrza wpada i dmie fletem.

Pieśń obłąkana huraganem
 zaczyna średniowieczną muzę,
 idącą w noc świętego Jana
 naprzeciw piersi mlecznym wzgórzom.
 Dotykać wozów — kół co tańczą
 na martwych osiach skrzypem czasu,
 wskazując miastom bieg skazańczy.

Prowadzi nas melodia krtani
 do mogił w rzędach białych brzóz.
 Aż cmentarzami obłąkani
 chwytamy obosieczny nóż.

WACŁAW IWANIUK

D O M A R Y S I

Oto lata dnie wypełniają kolorowe,
 nocą modlitwy ciche klęczą — —
 Jak talizman noszę twoje słowo:
 szczęście...

Nie pytaj, bo wiesz, że serce mam tak samo głodne
 jak wtedy w 1932 roku,
 tylko błękitne oczy w górę podnieś
 i znów
 najpiękniejszy z swych listów na burym mi przyślij obłoku.

Goniłem dziś po Wiśle różowe fale,
 żwir pod stopami zgrzytał —
 myślałem:
 będziesz, Marysiu, jutro list mój czytać,
 gdy słońce dach katedry zapali.
 A nad tym dachem czerwono
 zakwitną chmury jak ukwiały.

Wodo, wiślana wodo,
 chłodziś moje usta falą.

CZESŁAW JANCZARSKI

Księgi święte! Nie chcę waszych rajów,
mdłych aniołów ni zmysłowych hurys.
Dni czerwone i czarne wołają,
aż przywoła ostatecznie któryś.

Patrę w niebo. Gwiazd się sypie próchno.
Cyka zegar. Tyle, tyle godzin.
Poprzez wieki słowa te nie zgłuchną:
„ranią wszystkie ale ta ugodzi“.

Tak, lecz która? Rok i dzień i miesiąc?
Była wiosna. Lato. Jesień. Zima.
Dni się ciągną mozolną procesją,
gdzie się wreszcie skazówka zatrzyma?

Może w górach. Ale gdzie jest szczyt ten?
Czym go deptał ciężkich nóg okuciem?
Tak, to jedno byłoby zaszczytem,
skoro trzeba zagrać na tej nucie.

Tylko niesmak: wóz i ta łacina
i te wszystkie czarne rekwizyty —
tutaj wino, jaśminy, dziewczyny,
a tam ciemność, robactwo i mity.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

TEATR DON KICHOTÓW

(fragment z powieści „Ulica Wszystkich Świętych“)

Niekiedy się zdarza, że matka zabiera mnie z sobą do teatru. Siedząc obok niej ulegam na chwilę zamroczeniu, jakie wywiera na mnie senny gwar i pokawałkowane spojrzenia posyłane we wszystkie kierunki przez liczną rzeszę ludzi, którzy tu przyszli, aby ujrzeć niezwykle widowisko. Spojrzenia te krzyżują się, mijają obok siebie i zdaje się, że cała przestrzeń nad głowami publiczności jest pocięta i pożyłkowana jasną i ciemną siatką tych spojrzeń. Całą uwagę skupiam na kurtynie, która się wydyma, pęcznieje i chwieje, jakby za chwilę miała pęknąć, aby ukazać nam wreszcie niezwykle barwne i piękne widowisko.

Gdy tak siedzę pełen oczekiwania i wewnętrznego napięcia, które rośnie bez miary, — czuję na sobie uporczywe, łaskoczące spojrzenia. Wiem, że to nie są spojrzenia ludzi obcych mi i obojętnych. Wchodząc do tej sali, dusznej i przyciemnionej, zauważyłem kilka panienek z ulicy Wszystkich Świętych. Rozglądając się widziałem ich coraz więcej. Wplątane w szary tłum siedziały wokoło nas posyłając w moją stronę żarliwe spojrzenia spod nasuniętych na czoło granatowych беретów i malutkich kapelusików, w których tak dobrze wyglądały. Pod wpływem tych spojrzeń uczułem, że zainteresowanie moje dla olśniewającej sztuki, której smak już wyczułem z afiszów, poczęło

się rozluźniać i chociaż deski na scenie ugięły się i trzeszczały pod stopami bohaterów tej boskiej komedii, chociaż kurtyna wydymała się w patetycznych oddechach, jakie szły przez całą salę i podniecały wewnętrzne napięcie oczekującej publiczności, — nie mogłem już powrócić do pierwotnego nastroju, gdyż odleciał on ode mnie i zginął dla tej sprawy, która miała nam być objawiona spoza zasłony falującej wzdłuż i wszerz kurtyny.

Korzystając z chwilowej nieuwagi matki wstałem ze swego krzesła i przechodząc wzdłuż mroczniejszej sali zbliżałem się po kolei do znajomych pańienek, które w dalszym ciągu obserwowały mnie spod nasuniętych na czoło granatowych beretów. Rozdając uśmiechy na prawo i na lewo ścisnąłem gorące ich dłonie i wsłuchiwałem się w cichy szept ukarminowanych ust, patrzyłem głęboko w ich oczy, które w półmroku sali teatralnej były jeszcze ciemniejsze, jeszcze więcej aksamitne.

Gdy jednak sztuka, której akcja dotychczas toczyła się poza zasłoną nie może pokonać gęstniejącej dynamiki falującej kurtyny i publiczność zmęczona oczekiwaniem łagodnie usypia w długich szeregach pluszowych krzeseł, nastrój zaś rozluźnia się i gaśnie wraz z ostatkiem świateł, — pańienki znowu stają się natarczywe w swych żądaniach i proponują mi spacer po mieście. Jest cudowna noc.

Z tej propozycji korzystam skwapliwie; cóż bym robił w tej ciemnej sali obok śpiącej matki i całego pospólstwa, które chrapiąc na różne tony uprzyjemniało sobie chwile oczekiwania?

Aby jednak nie narazić się na wyrzuty ze strony matki i być zwolnionym od odpowiedzialności za lekkomyślne opuszczenie teatru, poszedłszy do zwiotczącej już kurtyny podnieśliśmy jeden jej róg zapuszczając w głąb sceny ciekawe spojrzenia. I oto oczom naszym przedstawił się widok tak żałosny, że dziewczęta aż klasnęły w dłonie i czym prędzej wycofały się z powrotem: na scenie w pozach teatralnych aktorzy posnęli. Czułe kochanki ubrane w białe powłóczyście stroje spały w objęciach swych amantów, tuliły się do piersi zakutych w pancerze, które w świetle ogarków rozsiewały metaliczne odblaski. Twarze tych szlachetnych rycerzy, którzy nieustraszenie walczyli z olbrzymimi wiatrakami, były grubo i nieudolnie pokryte szminką, brody zaś gęste i czarne płatami odpadały od ich policzków. O, parodio ludzkiej komedii!.. W kącie stały śmieszne rumaki, szkapy wychudłe, wycięte z tektury i misternie pomalowane, puste wewnątrz, i bezgłośnie gryzły wędzidła, które rozdzierały im pyski obficie broczące krwią. Niektórzy aktorzy kończąc szminkowanie twarzy pochylili głowy na stoły i usnęli,

nie doczekawszy się chociaż w ten sposób odegrania komedii. W kącie pomiędzy bezładnie spiętrzonymi akcesorjami teatralnymi, spał pocieszny grubas, któremu w udziale przypadło jeździć na kłapouchym osiołku. Leżał szeroko rozłożywszy nogi, nad którymi pęczniał i rósł do góry olbrzymi brzuch. W dali, w mgłę i pyle wielkich traktów, po których chadzała wybujała próżność błędnych rycerzy, wiatraki w świetle świec stwarzającym sztuczny bez akcentów dzień rozpaczliwie machały skrzydłami, jakby w ten sposób wyzywały na śmiertelny bój śpiących rycerzy. Pomiędzy wiatrakami pełen rezygnacji i spokoju stał kłapouchy osiołek skubiąc zeszlóroczne suche osty. W zachowaniu się jego była pewna doza mądrości, lecz w mądrości tej nie doszukamy się ani iskierki krytycyzmu, bowiem jest ona potrzebna dla własnego użytku i służy niby pancerz ochronny. Co innego rumaki — one posiadają gorącą krew i dlatego są skłonne do teatralnych póż. Rycerze zakuci w blachy pancerne w dalszym ciągu spali w objęciach słodkich kochanek, rumaki zaś gryzły wędzidła i niecierpliwiły się w narowistym galopie.

Korzystając z głębokiego snu aktorów obszedłem scenę za kulisami wokoło. W pewnym miejscu ujrzałem grubego i bardzo pocieszego człowieczka kręcącego korbą, która wprawiała w ruch skrzydła wiatraków. Siedział na niskim stołeczku i bezmyślnie wykonywał rytmiczne ruchy dokoła korby, nucił przy tym półgłosem jakąś piosenkę. Przyjrzawszy się mu dokładnie zauważyłem, iż był bardzo podobny do aktora śpiącego w kącie sceny na kupie rupieci. Dlaczegoż w takim razie nie wpuszczono go na scenę i nie dano mu odpowiedniej roli? Pocóż było charakteryzować człowieka innego, który odegrałby krótki epizod mający w tej sztuce do pewnego stopnia uboczne znaczenie? — myślałem z goryczą. — Po co było zamęczać kogo innego wykuwaniem odpowiedniej roli, by powtarzał ją jak papuga, skoro tamten i bez tego wszystkiego mógłby stworzyć wspaniałą kreację? Tę rolę z całą pewnością odegrałby bez cienia fałszu, bez zająknięcia, bez chwili wahania. Cóż za okropna zemsta! Właściwego aktora usadowiono na niskim stołeczku i kazano mu kręcić korbą. Do spełnienia tej czynności można było wziąć tercjana naszej szkoły lub pierwszego lepszego ulicznika, — Taki człowiek byłby na odpowiednim stanowisku — ba, byłby nawet wdzięczny zarządowi teatru za takie engagement, uszczęśliwiłoby się go na całe życie, gdyż przy byle okazji opowiadałby chętnemu audytorium, że spełniał w teatrze pewną rolę. Tymczasem dyrektor teatru tę postponującą czynność polecił człowiekowi, który mógłby być chlubą teatru. Ach, jakżeż ludzie są krótkowzroczni!

— Niech pan nie miele, nie potrzeba! — powiedziałem do niego, kładąc dłoń na jego ramieniu.

Smutny człowieczek, tragiczny spokojny, popatrzył na mnie łzawymi oczkami i nie przestając ani na chwilę kręcić korbą nucił pod nosem jakąś melodię.

No, naturalnie — pomyślałem — co za głupia propozycja! Ci ludzie są nad wyraz obowiązkowi. Wynika to stąd, iż nie znają dokładnie narzuconej im roli. Jedyne sposoby, jakie mógłby go oderwać od ślepego spełniania tej czynności, sposoby niezawodny byłby, gdybyśmy poszli w kąt i udawali, że mamy zamiar go nakarmić. Słyszac brzęk talerza po podłodze podbiegłby do nas w psich płasach i łasiłby się u naszych nóg oczekując na nędzne ochłapy. Lecz jesteśmy świadomi gorzkiego rozczarowania, jakie by powstało w psim sercu tego człowieka i nie możemy odważyć się na takie doświadczenia, — to byłoby za okrutne. Później nie mielibyśmy spokoju, gdyż oczy pełne wyrzutów ściagałyby nas wszędzie.

Odwracam się i idę w kierunku drzwi gabinetu dyrektora teatru. W chwili, gdy biorę za klamkę, człowiek kręcący korbą porusza się i błagalnym szeptem powiada do mnie: — Nie wolno budzić tych, którzy żerują na głupocie ludzkiej!

Wracam z powrotem i rozpoznaję w tym człowieku ojca.

— Ojcie!... — wołam wzburzonym głosem. — Co za okropna pomyłka!? Dlaczego uległeś tak hańbiącej metamorfozie?... Czemu nie uprzedziłeś mnie o tym?... Lecz ojciec nie odpowiada na moje pytanie, — kiwa na mnie palcem. Podchodzę i słyszę jego wnikliwy szept, którym stara się złagodzić moje wzburzenie. Początkowo nie rozumiem, co do mnie mówi, tak jestem zaskoczony tym całym zdarzeniem, — wobec czego ojciec jeszcze raz apeluje do mojego rozsądku.

— Nie bądź aktorów i publiczności, — bądź rozsądny. Ty nie masz pojęcia, jakiemu rozczarowaniu ulegliby wszyscy, gdyby się zbudzili. Aktorzy zamiast komedii, szlachetnej i łagodnej parodii, odegraliby prawdziwą komedię ludzką. Czy zdajesz sobie sprawę, jak byłaby ona dotkliwa dla publiczności? Każdy z tych uspiomych i niewinnych ludzi w kreacji aktorów widziałby siebie. Co za dezorientacja spotkałaby tych biednych ludzi!.. To byłaby tak nagła niespodzianka, że mogłyby z tego wyniknąć poważne i opłakane następstwa. Znam twoją nieobliczalność i dlatego proszę cię, abyś jak najprędzej opuścił teatr.

— Nie odchódź jeszcze — powiedział w chwili, kiedy się kierowałem ku wyjściu. Musisz pomóc mi podnieść kurtynę, gdyż ja nie mogę wszystkiemu nadążyć. Uważaj tylko,

aby zbyt wielkie światło nie przenikało ze sceny na widownię, — w tej chwili jest to zupełnie niepożądane. To mówiąc krzątał się na palcach po scenie i we wszystkich kątach, tak aby nie były widoczne, ustawiał zapalone świece. Po chwili posyłając mi ręką pożegnalny gest skrył się za kulisami. Skrzydła wiatraków znowu poczęły się poruszać i napędzać w stronę widowni łagodne powietrze, które w wielkich dreszczach spływało po kurtynie marszcząc ją i wydymając. Oparty o uginające się dekoracje stałem wpatrzony w tę osobliwą inscenizację, wreszcie na dany przez ojca znak pociągnąłem za sznur i kurtyna lekko uniosła się do góry. Z sali na scenę powiało gorącym powietrzem i głośnym chrapaniem. Ludziska poczciwi obkładali się chrapaniem jakby miękką pierzyną. Niektórzy pochylili się na poręcze i głowy pokładli na ramionach i łonach swoich sąsiadów. W ciemnych kątach sali jakby zbłąkanym echem rozsypały się dźwięki, które w żaden sposób nie mogły się ułożyć w jakąś melodię, melodię, która w moich uszach co prawda już znalazła odpowiedni motyw, jednak nie posiadała jeszcze właściwego wyrazu, — więc tłukły się te dźwięki i opadały z góry na dół niby ćmy nocne trzepocące skrzydłami o szyby okien. Po chwili znalazłem się wśród publiczności na środku sali. Z tej perspektywy mogłem dokładniej ocenić reżyserskie zdolności ojca. Jakżeż stąd był piękny widok na scenę! Rycerze zakuci w blachy stalowe, barczyści i brodaci spali w objęciach czułych kochanek, rumaki zaś, szlachetne pegazy gryząc wędzidła i pieniąc różową pianą z rozdartych pysków w przytłumionym świetle sztucznego dnia na kolorowych skrzydłach rwały do góry w narowistym galopie. Śliczne, natchnione pegazy, wycięte z tektury, puste wewnątrz, na zewnątrz zaś świetnie i misternie kolorowane.

Zachwycony tym wspaniałym widokiem, byłbym pozostał, aby być świadkiem oszałamiającego dzieła ojca, dzieła zrodzonego w boskim natchnieniu, lecz w porę przypomniałem sobie o panienkach. Widziałem je pod wejściowymi drzwiami przykucnięte i chichocące cicho. Posyłały mi tęskne spojrzenia.

Opuściwszy teatr, w którym do późnej nocy odbywało się to osobliwe przedstawienie, w otoczeniu miłych pańienek łaszących się jak dobre małe pieski, szedłem w kierunku ulicy Wszystkich Świętych hojnie rozdając wśród nich zalotne i pełne dwuznaczności uśmiechy. Niektóre z nich gubiły się po drodze, — widziałem, jak wchodziły w bramy domów, uchylające się bezbrinnie i cicho ciemnym ziewnięciem. Wysoko nad miastem świecił w pełni majowy księżyc

Kiedy po runięciu starożytności świat mocnymi rzutami zaczął się układać w nową postać, na polaci słowiańskiej Łużycanie, a raczej te kilka szczepów, których niedobitki ogarniamy łącznym imieniem Łużyczan, byli jedni z pierwszych gotowi do politycznej organizacji. Rozpierająca się jednak takim samym dążeniem do kształtu ciężka masa germańska wgniotła się w obszerną, lecz miękką jeszcze i niezestrojoną budowę czyniąc z niej swoją najwcześniejszą ofiarę. Wielkie państwo zachodnio-słowiańskie znikło; sproszkowane plemiona kolejno gasły, ostali się Milczanie, dziś Górnołużycanie, i właściwi Serbowie łużyccy, obecni Dolnołużycanie, których od tysiąca lat niewola umniejsza w zasięgu, ale którym pali się dotąd w pamięci zorza przeminionej świetności. W ustach prostego ludu trzymał się język o miłym archaicznym przydźwięku, aczkolwiek wieki darzyły go pogardą jako „mowę niewolników“. Majaczyły w nim podania, pogańska jeszcze w części poetycka ojcowizna, bo lud miał wyobraźnię, podatność do pieśni i zdumiewającą moc odporu. Głosem legendy żyje tam po dziś wspomnienie Bolesława Chrobrego, który w pierwszym stuleciu jarzma przyszedł jako krótkotrwały niestety wybawca i władca.

Średniowiecze było całe powolnym konaniem, wstrząs dała dopiero reformacja. Gdyby nie obawa paradoksu chciałoby się powiedzieć, że budzicielem Serbów, jakże bezwiednym!—był... Luter. Jego nauka w mig ogarnęła mały kraik, zbawienna przez swoje wymagania Biblii we własnym języku. Reformacja rozkroiła społeczeństwo na protestanckie i katolickie, co po ciężkim politycznie i kulturalnie rozłamie na dwa różnojęzyczne narody: górnych i dolnych Łużyczan, jest najostrzejszym cięciem przez Serbję nadłabską, nierozdrobnioną poza tym na stronnictwa ani kolory. Pierwsze pomniki literatury religijno-protestanckiej, ukazały się w języku dolnołużyckim w samej połowie XVI w., wkrótce dobiły się głosu i Łużyce Górne katolickie, które w ogóle miały zająć miejsce pocześniejsze wagą ruchu umysłowego i piśmiennictwa. Tłumaczenie Ewangelii, psalmów i t. d. zwróciło uwagę na sam język-kopciuszka, odkrywając zagnała — skarb. Nad literaturę religijną wyrosło „uczone“ piśmiennictwo filologiczno-historyczne, osiągając szeroki rozwój w wieku oświecenia. Nawet pastory-Niemcy zapalali się do miejscowej kultury i pisali całe dzieła (po niemiecku) o naukowej konieczności poznania mowy i dziejów Serbów.

W roli kaznodziejsko-filologicznej dojrzało powoli ziarno

narodowego uświadomienia. Jeden z grona badaczy, Jan Horczański, (zm. 1799) przekłada ustęp z Pope'a *Essay on man*, aby z dumą dowieść, iż język serbski zdolny jest być narzędziem głębokiej myśli i natchnienia. Pastor Jerzy Mjeń tłumaczy *Messiadę* Klopstocka i sam na jej wzór pisze heksametrem „*Modlitwę rycerza*“. Wzruszające jest wystąpienie prostego cieśli, Jana Dejki, który u progu XIX w. założył pierwsze czasopismo łużyckie, by wzywać w nim do pieczy nad ojczystą kulturą. Pisząc podnosił ufne oczy na miraż Słowiańszczyzny, jako rękojmię ocalenia*). Aż wreszcie — najpóźniejsza przybyszka — dźwiękła swobodna twórczość łużycka. W próbnym niejako, Biblii się trzymającym strojeniu narzędzia, ręką Rudolfa Mjenia, syna tłumacza *Messiady*. Naród radośnie nasłuchiwał i wysoce sobie cenił ten niepokaźny poetycki debiut.

Kiedy Rudolf Mjeń umierał, w czterdziestych latach XIX w., atmosfera literacka i narodowa na Łużycach była już nieźle podniesiona. Nie trzeba dodawać, że wpływało sąsiedztwo budzących się Czech, a bez wątpienia i najwyższą wtedy dobę przeżywająca poezja polska. Ciepły wiew idei od wszystkich krajów słowiańskich zaczął Łużycom podnosić człowieka za człowiekiem „*Ojcowie narodu*“, jakby czarodziejską różdżką wywołani z głuchego dotąd tła czasu, zaczynają schodzić się na wiece ojczystego ducha. Dwaj wyrastają nad innych: Jan Ernest Smoler (1816 — 1884) i Michał Hórnik (1833 — 1894) duumviry, jak ich po latach nazwie Alfons Parczewski, gdy — ochotnik sprawy łużyckiej — stanie im do pomocy. Życie narasta, kraj pracuje, ma prasę, organizacje, zdobywa przyjaciół za granicami. Na mózg i serce zarazem kształtuje się założona przez Smolera (1847) *Maćica serbska* w Budziszynie, stolicy kraju, dziś jeszcze pełen zasług ośrodek inicjatywy i kulturalnego czynu.

Jak kiedyś z rozgwaru filologów wyniknęła rymotwórczy głos Mjenia, tak teraz obudzona samodzielnie myśl i biorące rozmach życie społeczne odrazu błysnęły pieśnią. Znalazł się tegi poeta, tym miłszy i bliższy sercom, że uderzy w strunę ludową. Był nim Handrij Zejler (1804 — 1852), od którego właściwie zaczyna się poezja, jako stały odtąd i nieodzowny składnik wskrzeszej duszy łużyckiej. Adolf Czerny w swojej historii piśmiennictwa łużyckiego trafnie i ładnie nazywa Zejlera serb-

*) Już wcześniej Abraham Frencl swoją łacińską pracę o dziejach i języku Serbów ofiarował szumnym przypisaniem Piotrowi Wielkiemu, gdy przejazdem bawił w Dreźnie. Wyraźnie tam powiada, że najniejszy naród słowiański ocalenie swe widzi w największym i w jego potężnym monarsze. Był to panslawizm, o sto lat starszy od znanego nam panslawizmu. A ojczyznę tego kierunku są... Łużyce. Niestety, nie dziwota.

skim Burnsem, mając na myśli i jego rolę literacką i samowtórwszy rysopis. Należy go tylko w stosunku do bratniego mu Szkota wziąć w odpowiednim mu zdrobnieniu. Zaczął od tonów smętnych, bo smutek był najwierniejszym towarzyszem jego plemienia, niech o tem zaświadczy choćby jeden z najpopularniejszych wierszy jego wczesnego okresu, z ust ludu zaczerpnięty motyw o „bożym sedleszku“. Jednak Zejler miał z natury duszę uśmiechniętą i tym uśmiechem swoim wydarł się smutkowi, jak promień słońca wydziera się chmurze. Jego pieśni patriotyczne zaczęły roznosić po kraju nutę krzepiącą, niektóre z nich stały się nawet hymnami narodowymi, a przede wszystkim podłożony pod melodię „Jeszcze Polska nie zginęła“ odwzór „Hiszće Serbstwo niezhubjene“ przyjaźń muzycznego poety z pierwszym kompozytorem łużyckim, Kocorem, objawiła się m. in. i kilkoma próbami operowymi, te jednak były gatunkowo za ciężkie dla uzdolnień Zejlera. Nawet ludowość w najczystszy swym wyrazie, w balladach czy baśniach tj. w kompozycjach wrastających w epikę, zawodziła. Celował Zejler w lekkim poetyckim dotyku; jego drobiazgi liryczne, sielskie i śpiewne, niekiedy wręcz urocze, czynią wrażenie jak gdyby spadły na karty spomiędzy stokrotek i niezapominajek.

Ballady za to sprawnie biegły Handrijowi Duczmanowi (1836—1909), zwłaszcza nie może nie podbić baśń „Wodźan“, osnuta na podaniu o Mężu Wodnym, ożenionym z młynarówną. Gdy mowa o epice, nasuwa się pamięci poemat Jana Ciesli, pt. Król Przemysław, wizja pół bajecznych zmagani władców i obrońców narodu z odwiecznym wrogiem i ciemnicielem, zamknięta, jak „Lilla Weneda“, symbolem bohaterskiego popiołu, z którego przyjdzie zmartwychwstanie.

Trzecie podniesienie się fali widzimy około r. 1870. Centrum są tym razem stowarzyszenia studentów łużyckich w Lipsku i Pradze. Życie ich miało rażny puls, działali zjeżdżali się rok rocznie, założyli własny organ „Lipa serbska“, ożywczy, buntowniczy, który jednak po paru latach zlał się z „Łużyczaninem“ Smolera w ważne i cenne pismo „Łużycanin“. W gronie młodzieży rej wodzą dwaj kolejni redaktorowie „Lipy“, ludzie, którzy mieli w nauce i w poezji dać dwa najwyższe nazwiska dotychczasowej kulturze łużyckiej: Ernest Muka (1854—1932), wczesny dezertor literatury pięknej do sławistyki, i Jakób Bart (1856—1909) znany pod przybranym nazwiskiem Cisyńskiego.

Cisyński dopiero śpiewanie łużyckie uzgodnił z kamertonem europejskim. Był pierwszym, a bodaj w tej mierze jedynym człowiekiem, wnoszącym ambicje literackie. Obok dialogu z wła-

snym ludem, palił się do zadań artystycznych, które sam sobie stawiał jako eksperymenty na widnokręgu rodzimej twórczości. Taka śmiałość nowatorska nie podobała się, oskarżono młodzika o zarozumiałstwo, o obcość duchową. Jeden jedyny Smoler poznał się na nim i wziął go w obronę. Ambitny Ciszyński nie dał się zawrócić z drogi; przeciwności zaostrzyły w nim tylko wrodzoną ironię, dużą część natchnień skierowując do satyry. Nie ona jest jednak jego naczelnym udarowaniem. Był to liryk o podszyciu refleksji, a doskonale nakładał wyraz na wewnętrzną grę przeżyć, która szła w nim bujna i różnorodna, aczkolwiek świadomie w wypowiedziach ściszana. Duży akcent, trzeba to jeszcze raz zaznaczyć, — kładł na formę. Wczesnego mistrza znalazł we Vrchlickim, tak samo czujnym artifexie, ale i Mickiewicz należał do jego przewodników. Sądziłabym, że piękne w obrazowaniu wrażenia morskie z Helgolandu, swego rodzaju egzotyizm w poezji serbskiej wyrosły w pewnej mierze z zachwyty nad „Sonetami krymskimi“. W sonet rzeźbi się z umiłowaniem liryka Ciszyńskiego; niemal zadebiutował „Księgą sonetów“, potem urozmaicił zakres prób w zbiorze „Formy“, którego charakter objaśnia nagłówek.

Ale mimo znamienia wyraźnej „literackości“ Ciszyński jest i pozostanie przede wszystkim poetą uczuć narodowych. Był księdzem i zawód na całe niemal życie związał go bądź z okolicami ziemczonymi, bądź z obczyzną (Drezno). Do bezpośrednich pobudek twórczych przybyła więc i tęsknota. Jako największy poeta narodu uciśnionego, zdający sobie z tego jasno sprawę, bierze na siebie znane nam z naszych własnych dziejów posłannictwo, staje się sumieniem, cierpiącym za wszystkich i widzącym za cały lud. Są chwile, kiedy ugina się boleśnie pod ciężkim zadaniem poety maleńkiego narodu, częściej jednak miłość porywa się pewnym lotem w jego utworach, głos jest męski, dostojny, a ramiona śpiewaka wyciągają się opiekuńczo ku drogiemu skrzywdzonemu plemieniu.

Wpływ Ciszyńskiego był olbrzymi. Niepodobna wprost wystawić sobie, jakby mogli być i czym by dziś byli Łużycanie, gdyby nie posiadali tego patrona i tego zarazem symbolu duszy swojej. Rozstając się ze szlachetnym poetą, do paru tytułów jego utworów, jak: Przyroda i serce Z życia Z orlim skrzydłem, Radość i smutek, Krew i kraj, Z serbskich pól itd. dodajmy szczegół, że w młodości zaczął heksametrem poemat „Nowożeniec“ lekko przerysowany z Hermana i Dorotei, a także, że napisał tragedię Na grodzisku, tematem rówieśnicę Króla Przybysława Ciesli.

Bolesną pustkę zostawił po sobie Ciszyński. Wrzał wprawdzie w literaturze ruch, nawet proza, obok teoretycznej, zawsze bujnej, zaczęła się odzywać artystycznie, — ale znikła oś. Pewne życie okazywały od pewnego czasu i przemilczane dotąd Łużyce Dolne. Ujmujące prostotą piosenki pisywał im Mato Kósyk, jakby bladziutkie odbicie Melodyj ludowych Asnyka; potem wyemigrował do Ameryki i umiął. Niedawno zaczął się odzywać na nowo, z daleka, a głos zachował ten sam. Najlepszą poezję dolnołużycką daje Mina Witkojc, nauczycielka, we wczesnych latach ziemaczona, której zjazd zawodowy odbyty na Łużycach (rok 1921) otworzył w jednej chwili serce. Ładna jest jej poetycka spowiedź z tego przerodzenia. Mina Witkojc (ur. 1893) wyrosła na poważną działaczkę, spółredaguje pismo *Serbski Casnik*, ogłasza w nim sporo, tłumaczy obcych pisarzy i sama wydała dwa „Wianuszki“ wierszy oryginalnych. Nie ma górnych uroszczeń artystycznych, jej utwory to mowa serca garnącego się do ludu, a lud odpowiada na nią ciepłym, szczerym uczuciem.

Biegunowo inny charakter miała krótkotrwała działalność poetycka Józefa Nowaka. Jesteśmy znowu na Górnych Łużycach. Wojna, która zaostrzyła jeszcze cierpienia biednego kraju, jednocześnie rzucając mu złudny uśmiech nadziei, sprawiła, że głos poetycki mógł i musiał podnieść się w owych latach. Józef Nowak (ur. 1895) stanowi niejako przedłużenie Ciszyńskiego, atoli, gdy głos Barta brzmiał w pustce czasów bezwydarzeniowych, o instrument Nowaka były podniecająco wypadki. One to nadały jego wołaniom dźwięk padającej w samym ogniu komendy, one podniosły język łużycki do najwyższego forte, jakie kiedykolwiek z siebie wydobył (*Z duchem swobody*, poezje r. 1919). Poprzedził ten doskonały tomik dramat osnuty na dawnych podaniach: *Ostatni król*. Rewolucyjnym duchem oddycha następna baśń dramatyczna: „*Oblubienica wolności*“; „*Lubin i sprawa*“ wzorowana jest z najpomyślniejszym wynikiem na tragediach starożytnych.

Dużą krzywdę uczynił Nowak spółziomkom sprzeniewierzając się swemu poetyckiemu powołaniu. Wobec jego zamiłowania został na placu jako jeden z najwybitniejszych Jan Skala (ur. 1888), autor m. in. tomików *Śródki i Iskry*, cichszy głosem, chociaż i on dał parę razy dobitny wyraz uczuciom patriotycznym w związku z epokowymi wypadkami. Hołduje liryce indywidualnej, ma wdzięczne erotyki, głównie chwytta za serca wierszami do matki. Ale i on coraz częściej opuszcza poezję dla publicystyki, która stała się jego zawodem i jego obywatelską służbą.

Obok Miny Wiktojc mają i Górne Łużyce kilka nazwisk „młodych“, rozdźwiękłych dopiero po wojnie. Zdolny Wićaz umarł, ledwo dawszy się poznać. Wyrabia się Paweł Krjeczmar (ur. 1898), ale się jeszcze nie usamowolnił spod wpływów: Jan Lajnert (ur. 1898) ma opinię najbardziej niezależnego a zarazem zbliżonego do nowej poezji. Można podkreślić w nim dar operowania wierszem i różnolitość wkładanych weń motywów.

Zajrzyjmy jeszcze do pracowni poważnego pisarza, od lat oddanego cichym studiom nad formą liryki greckiej, a który niedawno, w późnym już wieku, położył swój podpis: — Maciej Urban — pod epokowym dla małego kraju dziełem: przekładem Iliady i Odyssei, nowym walnym zwycięstwem języka serbskiego.

*
*
*

Błyskawicznie przesunęliśmy okiem po dziejach piśmienictwa Łużyczan. Dużo imion i zasług zostało poza spojrzeniem. W tej chwili naród serbski przechodzi walki przeraźliwe, głos mu duszą, instytucje miażdżą, pisma znikły lub zmuszono je do tonu, który zadaje kłam uczuciom. Z tymi stosunkami wzięła się za bary garść młodzieży inaczej myśląca niż starsze pokolenia: siłacze, realiści wbici wzrokiem w najbliższy plan. Akompaniamentu poetyckiego ich zmaganiom nie dostaje. Nie martwmy się jednak z góry. Trzykroć wezbrała fala śpiewna na Łużycach, zawsze ze środowiska zwróconego uwagą ku innym zadaniom, Ucisk chwilowo ogłuszył, ale dusza narodu czuwa. Charakterystyczne jest, że jakieśmy widzieli, w tym ludzie poezja i twórczość przychodziły zawsze do głosu ostatnie. Życie, myśl i cierpienie pracują tam na jutrzejszą pieśń. Literaturę tę, skromną i szlachetną, która umiała być przęsem rzuconym poprzez tysiąc lat historycznej pamięci i dzwonem bijącym na pracę, i pocieszycielką serc, i twórczynią charakterów, powinniśmy znać i musimy szanować. Wierzmy, że „najmniejsza gałązka słowiańska“ jeszcze się nieraz będzie różowiła kwiatem. Tylko, że bierne życzenia może niezupełnie odpowiadają godności dużej Polski wobec maleńkich Łużyc?

JULIA WIELEŻYŃSKA

*Jeden z najbliższych numerów „Kameny“
będzie w całości poświęcony Tatrom. Prosimy
o nadsyłanie odpowiedniego materiału.*

BOŻE SEDLESZKO *)

Płakało boże sedleszko
 Na Żmorcu, w świerków cieniu,
 Na wierchu góry płakało
 W księżycowym promieniu.
 Świerki się go pytały,
 Pytały się buki w borze,
 Kto sprawił, że łyż tak leje
 Sedleszko ono boże ?
 Słyszały krogulce siwe
 W gęstwie jodłowych gałęzi
 Płacz gorzki, bo sen im zmaćił,
 Co je w bezsile więzi.
 Wtedy odpowiedź sedleszka
 Skroś ciemne spłynęła smreki :
 „Całym kraj serbski obiegło,
 Jak wielki i daleki.
 W smutną, śmiertelną koszulę
 Lud serbski pierś zaszywa,
 Jęk dzwonów głuchy-m słyszało,
 Kiedy na pogrzeb wzywa.
 Więc mi nie krzacie ni słowa,
 Krogulce o ostrej szponie,
 Wam wieść ta w serce nie pada,
 Mnie bólem w duszy tonie“.

HANDRIJ ZEJLER

POETA SERBSKI

Ciężki to los iść z pieśnią na Łużyce
 I z prochu im minione krzesać czasy,
 Hart Serbom dać na trwanie i zapasy,
 Ostrzyć im myśli i zwiewać z dróg mgławicę.
 Mowie dać głos wyklętej, wpartej w nice,
 Pleć chwast, a z dusz niemieckie zzuwać pasy,
 Drażyc się w głąb, po rdzeń zarosłej masy,
 Słowa dziać w strój jak druhny-biesiadnice.
 Ciężki to los, wdzięczności w Serbii mało,
 My naszych ksiąg osmętną znamy dolę :
 Na strychu je kurz zgryzie, zeżrą mole...
 Toż mnogim z nas z rąk pióro wypadło.—
 Wzruszeniem wam niech serca drgną, Serbowie !
 Oddajcie hołd, cześć pieśni w serbskiej mowie !

MOWA OJCZYSTA

Mowo ojczysta, dzwoń a świec, Nieb tchnienie niesiesz z sobą, Ja chcę kochankę w tobie mieć, Tyś marzeń mych ozdobą.	Moc słodka płynie z twoich tchnień I czarem w piórze gra mi, Ty ogień wlewasz w słowa me, Piękna mych dzieł korono, Gdy szumią wichry, myśl się rwie, Twe dźwięki, gwiazdą płoną.
Radujesz dźwiękiem uszy me, O, dumo myśli mojej. Kiedy mię ból ku ziemi gnie, Twój głos mi skrzydła troi.	O grzej nas, dzwoń i błyszcz i graj Ku dumie i ozdobie, Tyś jest ubogich Serbów raj, Nieb tchnienie niesiesz w sobie !.
Tak pachniesz jak wiosenny dzień Nad lutni mej strunami,	

JAKUB CISZYŃSKI

*) Motyw ludowy. Sedleszko—uosobienie litości bożej. Wyobrażane jest w postaci małego dziecka w białej koszulce. Zjawienie się jego jest zapowiedzią nieszczęścia.

R A N E K

Z nocnej paszy wraca sarna,
Sowa do kryjówki mknie,
W bór się noc zaszywa czarna
I przymyka oczy w śnie.

Wiozą młody dzień na chrzciny
Zorze ranne w wozie chmur,
Łąki, pola, rokitciny
Zaproszono w kumów chór.

Cały błękit gra w uciesze,
Budzi ziemię pieśnią ros.
Kurtkę swą skowronek czesze,
Zrywa się na słońce wprost.

Śpiewa słowik złotogłowy,
Skrity w rośnym krzaku róż,
Z nim, na chrzciny, drozdy, kosy
Pacierz zanuciły już.

Niosą się kościelne dzwony,
W śmiech uderza młody dzień,
Płyną, jarzą się zagony
Od kołyśnych szczęścia tchnień.

Bierz błogosławieństwo zorzy,
Słodycz ich, człowieku, pij,
Zanim dzienny bój rozgorze
Trud na barki kładąc ci.

W I E C Z O R N Y S M U T E K

Słońce się śpieszy spocząć w wzgórz pościeli,
Ptaszek się zaszył między leśne krze,
Po raz ostatni rybka z wód wystrzeli. —
Lecz gdzie jest dla mnie spoczynek, ach gdzie?

Z wież Anioł Pański przez kraj się rozdzwania,
W górach śpiew dzwonów w rozmarzeniu mrze,
Do wsi, do zagród pasterz trzody zgania. —
Lecz gdzie jest dla mnie spoczynek, ach gdzie?

Gwiazdy na niebie owiały się w ciszę,
Miesiąc im prawi baśń i wodzi je,
Ludziom się w sercach roztkliwienie pisze, —
Lecz gdzie jest dla mnie spoczynek, ach gdzie?

Przez okno patrzę w iskrzące błękity,
Niebo w słodyczy pełnym leży śnie;
Padam na krzesło boleścią przebity,
Bo gdzie jest dla mnie spoczynek, ach gdzie?

JAKUB CISZYŃSKI

*

* * *

Pod mym okienkiem, śliczny cyprysie,
Skądś ty przyszedł, o przyznaj mi się,
Że się tak tulisz, tak wstrząsasz listków gęstwiną?
Czyś mię tu ubiegł i na pytania
Moje czekając teraz wśród łkania
Rosę posiewasz w tęsknocie?

Pod mym okienkiem, śliczny cyprysie,
Skądś ty przyszedł, o przyznaj mi się,
Że tak boleśnie się chylisz, drżysz gałązkami?
Może przyniosłeś z tego kurhana,
W którym najmilsza ma pochowana,
Miłości pokłon, pieszczotę?

Pod mym okienkiem, śliczny cyprysie,
To co masz dać mi, oddaj mi dzisiaj,
Bo moje serce tak cierpi jako i twoje. —
Czyś wyrósł z serca tej, co tam leży?
O, niech mi wróci w kwiatu odzieży,
W tobie odkwitła na nowo!

JAN SKAŁA

MŁODOŚĆ MOJA

Garść czasu jeszcze, duszo, ów wieczór, to rano,
kilka godzin próżnego czekania i smutku,
a ujrę młodość moją, zbladłą, zadumaną,
jak już nie kroczy za mną, wraca pomalutku.

Garść czasu jeszcze, znowu godzina stracona,
kilka chwil niepewności, ot, serce przywyknie,
i ku ceniom, gdzie wszystko kończy się i niknie,
ujrzę, jako odchodzi młodość zamyślona.

Ujrzę usta dziecinne, śliczną wargę, którą
całowałem, wyziębły, obnażone skronie
z kwiatów, które więdnące opuszczają dłonie
i szarpane na wietrze pod niebios wicherą.

Źrenice we łzach gorzkich jak śmieszne osoby,
które stroje balowe zrzucają nad ranem,
poczem dygocąc łamią palce i splakanem
okiem patrzą ku brzaskom jak w krepę żałoby.

Wreszcie ujrzę, jak stąpa w ponadmiejskie nieba,
bez wdzięku ni urody zaciskając w rękę
listki uschłe i strzępy; wargi jej bez jęku
żujące brak miłości jak zakalec chleba.

Wtedy, bez przewodnika, wyzbyty czułości,
ogłocony z siebie, pójdę pustą drogą,
jak włóczęga wstrząsany tą podwójną trwogą,
iż w końcu spotkam widmo straconej młodości.

HENRI SPIESS

Z francuskiego przełożył Stefan Napierski

Z E „S T A N C”

Li zmarli mnie słuchają, mogiły mnie garną.
Do końca będę wrogiem wciąż samego siebie.
Niewdzięcznikom ma chwała, krukom moje ziarno,
które, zawsze bez żniwa, sięję w czarnej glebie.

Lecz nie skarzę się zgoła. Cóż gniew Akwilonu,
cóż mi hańba i wżgarda, cóż paszcza zawiści,
jeśli gdy ciebie dotknę, lutnio Apollona,
za każdym razem dźwięczysz mi mądrzej i czyściej...

JEAN MORÉAS

Z francuskiego spolszczył K. A. Jaworski

Włodzimierz Pietrzak: *Prawo drapieżne*, Warszawa. Biblioteka Klubu Artyst. S. 1936. „Burzę nie słowami powiodę, lecz krwią“ dumnie obwieszcza poeta. A już w pierwszym utworze stwierdza: „wierszem jak rosą róż nie nakarmisz głodnych“ I „żyć to znaczy: z płomienia wychodzić“. A śmierć? „To nic. Dzieło wyższe niż człowiek — przetrwa“. Te i podobne im wyznania rozrzucone po wierszach Pietrzaka świadczą o powadze wymagań stawianych przez autora życiu i poezji. I choć czasem „bohater pozy“ skarży się: „młode dni mnie jak kobiety zużyły“ — nie wierzymy mu. Prawdziwie szczerzy bowiem jest w innych wyznaniach, czy kiedy w pięknych wierszach tatrzańskich w obliczu potęgi gór konstatuje: „dni dawne były słabe“, a młodość „krucha“ lub gdy w kapliczce „ludziom prostym spokojem światów niebieskich“ przeciwstawia dynamikę czynu. Formalnie utwory Pietrzaka zaliczyć należy do awangardy wywodzącej rodowód swój od Przybosa. Wiersze są naogół niełatwe, niektóre zbyt dalekie skojarzenia bez komentarza nie dadzą się odcyfrować, Pietrzak jednak ujmuje świeżością i trafnością swych metafor, dyskretnymi półtonami i ściszeniami nielicznych erotyków oraz sugestywnym kreśleniem pejzaży. Do udatniejszych należą utwory tatrzańskie, „Dwie rzeki“, „Bez dedykacji“, „Nad brzegiem“ i „Droga zwycięska“.

Jan Kott: *Podwojony świat*, Warszawa. Biblioteka Klubu Artyst. S. 1936. Zbiorek wyjątkowo ciekawy. Mniej tu problematyki i wogóle refleksji niż u Pietrzaka, za to wysuwa się na czoło pierwiastek emocjonalny, górujący nawet w wierszach o pewnej tezie („Jestem z tobą“). Częste motywy: wspomnienia z dzieciństwa — związane z nimi, podkreślony już przez jednego z recenzentów kompleks ryb i dziecięcego strachu. Dalej erotyki, z których szczególnie interesujący „Nad drżenia gór“— („nie zaparłem się“—dla miłości — „dróg samotnie krzesanych w lodowcach“, bo „nie uciszy (się) wiatrów silniejszych nad pożar ciał i drżenia gór“). Niektóre wiersze urastają do symbolów np. „Koniom spętanym“ z ciekawie przeprowadzonym paralelizmem między spętanymi końmi a młodością krępowaną więzami przeróżnych konwenansów. W opisach natury żywe odczucie jej piękna. Utwór „Martwa Ofelia“, przedziwnej piękności, uważam za jeden z najlepszych wierszy produkcji tegorocznej. Formalnie poezje Kotta oscylują między umiarkowaną awangardą a skamandryzmem.

W czerwcu b. r. odbył się w Trenczyńskich Cieplicach kongres pisarzy słowackich. Powzięto uchwały podpisane przez 52 literatów, którzy „mimo różnic w dziedzinie twórczej i umysłowej“, jakie ich dzieli, wyrażają wierność walce o wolność i wielkie ideały ludzkości i gotowość bronięcia zdobytych wartości przed zakusami „barbarzyńskich wrogów tu czy za granicą”. Pisarze słowacy akcentują solidarność pod tym względem z „najbliższymi” im literatami czeskiimi, z którymi chcą współdziałać „jako równi z równymi”. Podkreślają również swe sympatie dla ludu w jego walce o wolność społeczną i sprawiedliwość i pragną, by ich praca literacka pozostawała z tymi dążeniami w zgodzie.

*

W związku z kongresem wyd. L. Mazacza w Pradze ogłosiło konkurs na słowacką powieść i poezję z nagrodami, za powieść: I — 15000 koron, II — 7500 kor., za poezję: I-a — 5000 kor., II — 2500 kor. Towarzystwo Przyjaciół Pracy w Pradze rozpiisało konkurs na słowacką powieść, nagroda I — 10.000 kor. II — 5000 kor.

*

Jan Smrek, jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów słowackich, redaktor „Elanu”, wydał nowy tom poezyj p. t. „Ziarno”.

*

„Archa”, czeski literacki miesięcznik katolicki, poświęca wiele uwagi Polsce. W № 1—4 znajdujemy przekłady wierszy Błakowiczówny, J. Birkenmajera i Ejsmonda (tłum. J. Karnika), w № 4 dłuższą notę o artykule A. Madeja „Współczesna liryka czeska” i spolszczeniach z poetów czeskich A. Madeja i K. A. Jaworskiego (№ 8/9 Kameny r. b.)

*

W lipcowych numerach wychodzącego w Warszawie tygodnika rosyjskiego „Miecz” znajdujemy interesujący artykuł A. Biema „Los dwóch poetów” (Błoka i Gumiliowa). Autor upatruje związek między Błokiem a Lermontowem, Gogolem i Dostojewskim. Rozstrzelany przez bolszewików Gumiliow, zdaniem Biema, wywarł wpływ na twórczość wybitnego poety sowieckiego z okresu wojny domowej N. Tichonowa. Wpływ ten zaznacza się również w twórczości jednego z lepszych liryków sowieckich Wład. Ługowskoja a nawet przytoczony w artykule piękny wiersz N. Asiejewa „Mienia zastrielił bielej aficer” wyraźnie pobrzmiwia „w intonacji, geście poetyckim i materiale słownym” Gumiliowem. Za to Błok zaciężył na wybitniejszych poetach emigracyjnych.

*

Z pośród emigracyjnych wydawnictw rosyjskich wyróżnia się interesująca treścią i wytworną szatą zewnętrzną (piękne plansze) czasopismo „Now” wychodzące w Tallinie pod redakcją P. Irtela. W № 8. znajdujemy bogaty materiał, prozę i wiersze pisarzy emigracyjnych: z poezji wyróżniają się „Jesienne” A. Ładinskiego, L. Gomolickiej i przede wszystkim ciekawie pomyślane „Szachy” E. Czehrincowej; z prozy „Sługa Chryrusowy” — o Tołstoj — D. Merezkowskiego, „Czarny kot” L. Gomolickiego i „Święta lira” Ija-Feta. „Now” poświęca uwagę i kulturze słowiańskiej („Notatki o poezji czeskiej: „Józef Hora” N. Andriejewa i „Jerzy Liebert — o polskim poecie” L. G. (omolickiego). Czytelniczka polskiego zaciekawia również wrażenia P. Irtela z pobytu w Częstochowie: „Panna Częstochowska” i poetycka relacja M. Roos z parodniowego pobytu w Tatrach po stronie słowackiej: „Rysia Góra” (?), pełna (choćby w tytule) to mają być Rysy!) różnych nieścisłości, niemniej jednak interesująca.

*

Nakładem wyd. „Parobola” ukazał się w Paryżu pośmiertny zbiór wierszy i poematów tragicznie zmarłego poety Mikołaja Gronskiego. Oprócz znanej czytelnikom polskim pięknej „Belladonny” („Kamena” № 5 rocz. III i „Biblioteka Kameny” № 6) książka zawiera m. in. poematy

o podobnej postawie poetyckiej, apoteozujące bohaterstwo: „Torpedowiec” i „Lotnik“

*

Nakładem „Nowi“ wyszły dwa tomiki przebywającego w Warszawie poety rosyjskiego Lwa Gomolickiego (współpracownika wielu pism m. in. i „Kamenny”): „Poemat emigracyjny” i „Kwiatnik. — Dom”.

*

We Lwowie ukazała się cz. I. „Antologii współczesnej poezji ukraińskiej”, obejmująca pisarzy lat 1920-tych. Książka uwzględnia utwory 26 poetów, uszeregowanych według szkół (symboliści, futuryści, neoklasycy, neoromantycy). Zbiór poprzedza wstęp redaktora antologii J. Pelenińskiego. Cz. II będzie poświęcona poetom najmłodszym, którzy debiutowali po r. 1930.

*

Stanisław K. Papierkowski, jeden z nielicznych u nas znawców i tłumaczy literatury jugosłowiańskiej, wydał przekład tragedii Momezila Miloszewica „Jovan Vladislav”. Utwór ilustruje walki plemion słowiańskich na południu półw. Bałkańskiego pod koniec X i na początku XI wieku.

N O T Y

W Nr. 28. „PROSTO Z MOSTU“ Jan Jazłowiecki zamieścił alarmujący artykuł p. t. „Spusty w dolinę Kasprową“ ujawniający w całej pełni ohydę dewastacji Tatr wynikłą z racji powstania osławionej kolejki na Kasprowy. Autor ostrzega przed grożącym nadal wandalizmem (projekt przeprowadzenia rurociągu w Zielonego Stawu Gąsienicowego i stacji pomp, które dostarczałyby wody na szczyt) a stwierdzając fiasco imprezy nawet ze strony ekonomicznej, gdyż kolejka jest przedsiębiorstwem deficytowym, domaga się kategorycznie zniesienia „tej hańby kultury polskiej” i przeniesienia „co się da” na Gubałówkę. W tym samym numerze „Prosto z mostu” J. M. Rytard pisze entuzjastycznie o książce St. Vincenza „Na wysokiej połoninie”: „Weź, czytelniku, do ręki ten rapsod spisany przez mądrego natchnionego poetę... i zanurz się w tej ożywczej krynicy obrazów, dum i gawęd wierchowińny huculskiej. Jeśli zabójcze miazmaty cywilizacji zabily w tobie poczucie prawdziwego piękna, odłóżysz — jak przypuszcza autor — tę książkę po przeczytaniu kilku pierwszych kart. Jeżeli jednak ocalały w tobie chociażby reszki prawdziwego człowieka — człowieczeństwa wywodzącego się z świętej przyrody — pochłoniesz ten rapsod jednym tchem a po przeczytaniu innym okiem spojrzysz na otaczającą cię rzeczywistość. Zrozumiesz, że jako człowiek zostałeś oszukany, że jesteś niewolnikiem przykutym wraz z milionem sobie podobnych do wiosel galery ugrzęzłej na mliźnie. Pojmiesz swą straszną dolę i w pieśni twej zrodzi się płomień twórczego, zapładniającego buntu!” „Jedno mamy pragnienie my, ludzie z gatunku vincenzowych powistunów, których głos przechodzi bez echa, aby po przeczytaniu tej książki było was jak najwięcej zbuntowanych czytelników, gdyż od tego zależy, czy nadchodzące czasy przyniosą niewolę postępowego przymusu, giełd wszelkich wartości i kupieckiego ducha, co przeżarł wszystkie dziedziny, czy też władca nami będzie słoneczna swoboda”.

DRUGA CZĘŚĆ „MATKI JUDASZA” E Szalburg Zarembiny wprowadza nas w pierwsze lata pożycia małżeńskiego Joanny skreślone na tle stosunków polityczno-społecznych Kongresówki w okresie 1905 r. I tu się odczuwa lwi pazur autorki „Wędrówek Joanny”, choć „Ludzie z wosku” wydają się nam utworem o słabszym oddechu. Klimat powieści, atmosfera dziwności podobne, choć niesamowitość, demonizm tak uderzające nas w „Wędrówkach Joanny” występują tu w mniejszym stopniu (scena z Bocianichą, z Maniusią Tawułową poszukującą zwłok niemowlęcia, dziecko panny Aurelii, Serafinowie). Do najpiękniejszych miejsc powieści należą bezwzględnie sceny przedstawiające dzieciństwo Mei. Występująca tu znajomość psychologii dziecka i doskonała obserwacja jego życia przypominają nam, że Zarembina jest nie tylko świetną powieści-

pisarką, ale również jedną z najlepszych u nas autorek literatury dziecięcej. Po przeczytaniu „Ludzi z wosku” dalszy ciąg cyklu „Matka Judasza” jak i jego tytuł wciąż pozostają dla nas okryte mrokiem tajemniczości.

KOMITET UCZCZENIA PAMIĘCI MARII KONOPNICKIEJ projektuje przystąpić do zbiorowego wydania dzieł poetki po cenach popularnych, które by umożliwiły rozpowszechnienie książek autorki „Pana Balcera” wśród najszerzszych mas społeczeństwa.

KOMEDIA BARBARZYŃSKIEGO PROCESU W MOSKWIE, w którego wyniku rozstrzelano 16 oskarżonych, a wśród nich zasłużonych dla rewolucji wybitnych działaczy politycznych, wstrząsającą opinią całego kulturalnego świata. Co mogłoby być usprawiedliwione w ogniu walk rewolucyjnych, musi oburzyć w okresie pokojowej rozbudowy Związku Socjalistycznego.

W TYM OBŁĘDZIE JEST METODA. W ostatnim numerze „Monatshefte” niejaki dr. W. Lutz poddaje analizie trzy utwory Heinego: „Lorelei”, „Balsazar” i „Grenadierów”, aby na ich przykładzie wykazać, iż twórca nieśmiertelnych „Pieśni miłosnych” „nie ma prawa uchodzić za poetę”

JAKŻEŻ MŁODY JEST MICKIEWICZ, którego myśli wybrane z „Trybuny Ludów” znajdujemy zamiast artykułu wstępnego we wrześniowym numerze lwowskich „Sygnałów”. Gdy czytamy słowa jego o „kapłanach i prałatach”, uwagi o założeniu Europy, o socjalizmie i demokracji, trudno uwierzyć, że to napisał autor „Pana Tadeusza” przed 87 laty, tak nam te rozważania wydają się bliskie i aktualne.

DOMOROSŁY TORQUEMADO to p. A. Koźuchowski, który w „Myśli Polskiej” popełnił krwiożerczy artykuł domagający się „oczyszczenia” Polski „przez ofiarę i cierpienie” „od najazdu marksistowskich termitów”. Oto wybór jego „złoty” myśli: „Im bezwzględniej, im okrutniej stosuje reżim skrupowanie i wyrzeczenie, tym odporniejszy staje się na czerwoną dżumę”. „Pozwólmy inkwizytorowi zadawać słuszne cierpienia winnym i chorym, pozwólmy, by nie miał litości dla tych, którzy jej nie chcą i na nią nie zasługują”. A więc niech żyją Gestapo i G. P. U.! Na tej samej stronie „Hymn do Ducha świętego” Hłakowiczówny. Że też zawsze faszyści do swych zbrodni chcą wciągnąć Boga!

NUMER 5—6. (55-56) „WICI WIELKOPOLSKICH” został w całości poświęcony wspomnieniom strajku szkolnego we Wrześni z okazji 35. rocznicy. Numer zawiera szereg interesujących artykułów i wspomnień odzwierciedlających ciekawe momenty bohaterskiej walki dzieci polskich z przeziębieniem pruską.

RUCH WYDAWNICZY W LUBELSZCZYŻNIE. Wkrótce ukaże się druga powiększona edycja „Rozmowy z ojczyzną” Józefa Łobodowskiego. Władysław Podstawka wydał wiersze „Stopy w niewoli”. Jako pierwszy tom biblioteki grupy poetyckiej „Wołyń” ukazał się zbiorek Wacława Iwanika „Pełnia czerwca”. Jako nr. 7. „Biblioteki Kamień” wyszły poezje Zdzisława Popowskiego „Pieśni uroczyste”. W bieżącym roku ukażą się jeszcze dwa następane tomy „Biblioteki Kamień”: rewelacyjny zbiór erotycznych wierszy Olgi Daukszyt „Walec kierowy” (z którego wybór zamieszczamy w niniejszym numerze) oraz „W połowie drogi” K. A. Jaworskiego.

— kaj —

Zgodnie z życzeniem wielu czytelników w bieżącym roku wydawniczym powiększamy objętość „Kamień”. Numer zawierać będzie obecnie od 24 do 32 str.

W związku z tym zmuszeni jesteśmy podnieść wysokość prenumeraty do 5 zł. rocznie. Adres administracji: Chełm, Reformacka 43.

Numer wrześniowy wychodzi z opóźnieniem z przyczyn niezależnych od redakcji.

P. IG. URB. W CHEŁMIE Z otrzymanych wierszy zatrzymujemy „Błaszane strofy“. Prosilibyśmy o osobiste skomunikowanie się z redakcją w godzinach przyjęć.

P. KONR. ZIEL. W ZGIERZU Z dwóch nadesłanych przez p. L. G. wierszy Pana („Nokturn“ i „O, Chryste miasta“) lepszy pierwszy, z którego fragmenty może zamieścimy.

P. STAN. TURCZ. W KUKAWCE Wydrukujemy.

P. AL. MES. W WARSZAWIE „Podróż“ zatrzymujemy w tece. Chętnie zapoznalibyśmy się z Pańskimi przekładami z angielskiego, ale rzeczy już drukowanych nie zamieszczamy.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCJI

Taras Szewczenko: Poezje. Ukraiński Instytut Narodowy. Warszawa 1936.

Kazimiera Hłakowiczówna: Słowik litewski. Gebethner i Wolff. Warszawa 1936.

Seweryn Pollak: Z nowej liryki rosyjskiej (Gumiliow Chlebnikow, Pasternak). Warszawa 1936.

Jan Brzechwa: Piołun i obłok. Towarzystwo Wydawnicze. Warszawa 1935.

Jan Kott: Podwojony świat. Biblioteka Klubu Art. „S“. Warszawa 1936.

Włodzimierz Pietrzak: Prawo drapieżne. Biblioteka Klubu Art. „S“. Warszawa 1936.

Stanisław Piętak: Ziemia odpływa na zachód. Warszawa 1936.

Lew Gomolickij: Emigrantskaja poema. Now'. Tallin 1936.

Zygmunt Łempicki: Literatura poezja życie. Instytut Literacki. Warszawa 1936.

Stanisław Dąbrowski: Pisanki lubelskie. Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Lublin 1936.

Jerzy Pietrkiewicz: Prowincja (poemat). Warszawa 1936.

Paweł Valéry: Utwory wybrane (przeł. R. Kołonieckiego). Wyd. „Droga“. Warszawa 1936.

André Gide: Persefona (przeł. R. Kołonieckiego). Biblioteka Dram. „Drogi“. Warszawa 1936.

Paul Claudel: Młodość Violeny (przeł. R. Kołonieckiego). Biblioteka Dram. „Drogi“. Warszawa 1936.

Michał Świrski: Drogi w nieznanym. Hoesick. Warszawa 1936.

Tadeusz Sarnecki: Wódz, misterium tragiczne. Tryptyk żałobny. Zamość 1936.

Eugeniusz Małaniuk: Hellada stepowa. przeł. Cz. Jastrzębiec-Kozłowski. B-ka Zet. Warszawa 1936.

Mieczysław Lurczyński: Judasz. Nakładem Przyjaciół Autora. Warszawa 1936.

Ignacy Fik: Plakaty na murze. Biblioteka „Okolicy Poetów“ 1936.

N. P. Gronskij: Stichi i poemy. „Parabola“. Paryż 1936.

Andrzej Wolica: Z kamiennego domu. Warszawa 1936.

Juliusz Wit: Lampy. Gebethner i Wolff. Warszawa.

Wacław Iwaniuk: Pełnia czerwca. Nakł. grupy liter. „Wołyn“. Chełm 1936.

Władysław Podstawka: Stopy w niewoli. Nakł. autora. Lublin 1936.

CZASOPISMA NADESŁANE DO REDAKCJI

(od kwietnia 1936 r.)

Archa № 1—4. Biuletyn Polsko-Ukraiński № 153—178. Budowa № 3. Dekada № 19—31. Elan № 10. Korta № 1—4. Kronika Nadbużańska № 10—39. Lewy Tor № 5—10. Marchońt zesz. 3—4. Miecz № 97—123. Miesięcznik Literatury i Sztuki № 7—8. Myśl Polska № 4—16. Naród i Państwo № 13—30. Nasz Swit № 4 i 6. Nasza Świetlica № 5. Nasz Wyraz № 6—7. Nazustricz № 6—18. Nowa Wieś № 10—14. Nowe Czasy № 6—10. Oblicze Dnia № 4—9. Obriji № 8—24. Okolica Poetów Nr. 4—9. Pion Nr. 13—40. Polonista zesz. I—IV (roczn. VI). Polska Ludowa № 5—19. Praca Oświatowa Nr. 4—7. Prager Presse Nr. 183 i 186. Prosto z mostu. Nr. 14—42. Ruch Literacki Nr. 1—2. Ruch Pracowniczy Nr. 13. Sygnały Nr. 16—21. Studio № 1—6. Taternik zesz. 4—6. Tęcza Nr. 4—9. Tygodnik Ilustrowany Nr. 13—39. Wici Wielkopolskie Nr. 3—8. Ugory Nr. 1. Zet Nr. 92—100. Życie Lubelskie Nr. 12—21. Życie Akademickie Nr. 2—7.

Najnowsze wydawnictwa

„Biblioteki K a m e n y“



Nr. 6. MIKOŁAJ GRONSKIJ: BELLADONNA

ze wstępem J. Iwaska, spolszczył K. A. Jaworski, linoryty Zenona Waśniewskiego.

Cena 1 zł.

Nr. 7. ZDZISŁAW POPOWSKI: PIEŚNI UROCZYSTE

W DRUKU:

Nr. 8. OLGA DAUKSZTA: WALET KIEROWY

DO NABYCIA W KSIĘGARNI T-WA WYDAW-
NICZEGO W WARSZAWIE, MAZOWIECKA 12.